

Przygotował: mgr Michał Zembrzski

Fryderyk Nietzsche

Tako rzecze rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo, Przedmowa § 3, 4, 9, tłum W. Berent, Kęty 2004, s. 9-16.

Przedmowa Zaratustry

Gdy Zaratustra zaszedł do najbliższego miasta, co u skraju lasów leżało, znalazł tam wiele ludu zgromadzonego na rynku, gdyż było obwieszczono, iż linoskok da widowisko. I Zaratustra tak rzekł do ludu:

- Ja was uczę nadczłowieka. Człowiek jest czymś, co pokonane być powinno. Co uczyniliście, aby go pokonać?

Wszystkie istoty stworzyły coś ponad siebie; chcecie być odpływem tej wielkiej fali i raczej do zwierzęcia powrócić, niżli człowieka pokonać?

Czym jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem i sromem bolesnym. I tym powinien być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem i wstydem bolesnym.

Przebyliście drogę od robaka do człowieka, i wiele jest w was jeszcze z robaka. Byliście niegdyś małpami i dziś jest jeszcze człowiek bardziej małpą niżli jakakolwiek małpa.

Kto zaś jest pośród was najmądrszym, ten jest dwoistej natury - mieszańcem rośliny i upiora. Czy mówię wam, byście się upiorami lub roślinami stali?

Patrzcie, ja wam wskazuję nadczłowieka!

Nadczłowiek jest treścią ziemi. Wasza wola niech powie: nadczłowiek niech będzie ziemi treścią!

Zaklinam was, bracia, pozostańcie wierni ziemi i nie wiercie tym, co wam o nadziemskich mówią nadziejach! Truciele to są, świadomi czy nieświadomi!

Wzgardziciele to ciała, wymierający i sami zatruci, którymi ziemia się umęczyła; obyż się prędzej precz wynieśli!

Niegdyś było bluźnierstwo Bogu największym zuchwalstwem, lecz Bóg umarł, a z nim zmarli i ci bluźniercy. Ziemi bluźnić jest rzeczą najstraszniejszą, podobnie jak cenić bardziej wnętrzości niezbadanego niżli treść tej ziemi!

Niegdyś spoglądała dusza wzgardliwie na ciało; wtedy była ta wzgarda czymś najwyższym; chciała mieć dusza ciało chude, wstrętne, zagłodzone. Mniemała, iż się ciało i ziemi tak oto umknie.

O, ta dusza była sama jeszcze chuda, wstrętna i zagłodzona, i okrucieństwo było rozkoszą tej duszy!

Lecz wy nawet jeszcze, bracia moi, powiedzcie mi: co wam ciało wasze o duszy waszej zwiastuje? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem, i żalosną błogością?

Zaprawdę, brudnym stworzeniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby brudne strumienie w siebie przyjmować i samemu się nie skałać.

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka: ten jest morzem, w nim wasza wielka wzgarda zatonać zdoła.

Co jest największym z ducha, czego wy doświadczyć możecie? Jest to godzina wielkiej wzgardy. Godzina, w której wasze szczęście wstrętem was przejmie, zarówno jak rozum wasz oraz cnota wasza.

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mego szczęścia! Jest ono ubóstwem i brudem, i żalosną błogością. Lecz me szczęście powinno samo istnienie usprawiedliwiać!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mego rozumu! Czy pożąda on wiedzy jak lew karmu? Ubóstwem jest on i brudem, i żalosną błogością!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mej cnoty! Jeszcze mnie ona o szaleństwo nie przypawiła. Jak bardzo jestem umęczony swym złem i dobrem! Wszystko to — ubóstwo i brud, i błogość żalosna!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mej sprawiedliwości! Nie baczę, abym się żarem i węglem stał. Lecz sprawiedliwy jest żarem i węglem!”

Godzina, kiedy powiecie: „I cóż z mego współczucia! Nie jestże współczucie krzyżem, do którego przygwożdżony zostaje ten, co ludzi ukochał? Lecz me współczucie nie jest ukrzyżowaniem.”

Mówiliście już tak? Krzyceście już tak? Och, gdybym ja od was już takie zasłyszał wołania!

Nie grzechy wasze - wasze poprzestawanie na małym woła do nieba, wasze skapstwo nawet i w grzechu, oto co woła do nieba!

Gdzież jest ten piorun, który by was liznął swym językiem? Gdzież jest ten obłąd, który by wam zaszczepić należało?

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka. On jest tym piorunem, on jest tym obłądem!

Gdy Zaratustra tak zakończył, krzyknął jeden z ludu: — Słyszeliśmy już dosyć o linoskoku, pokażcież nam go wreszcie! — I lud cały śmiał się z Zaratustry. Jakoż linoskok, sądząc, że na niego przyszła kolej, imał się swego dzieła. [...]

Zaratustra jednak spoglądał na lud i dziwił się. Po czym rzekł tymi słowami:

- Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem i nadczłowiekiem - liną ponad przepaścią.

Niebezpieczne to przejście, niebezpieczne podróże, niebezpieczne wstecz spoglądanie, niebezpieczne trwożne zachwianie i zatrzymywanie się.

Oto co wielkim jest w człowieku, iż jest on mostem, a nie celem; oto co w człowieku jest umiłowania godne, że jest on przejściem i końcem.

Kocham tych, którzy żyć nie umieją inaczej, tylko zachodząc, albowiem oni są tymi, którzy przechodzą.

Kocham wielkich wzdarczycieli, gdyż to są wielcy wielbiciele i strzały tęsknoty na brzeg przeciwny.

Kocham tych, którzy nie szukają aż poza gwiazdami powodów, aby zaniknąć i ofiarą się stać, lecz ziemi się ofiarują, aby ziemia własnością nadczłowieka kiedyś się stała.

Kocham tego, który żyje, aby poznawał, i który poznawać chce, aby kiedyś nadczłowiek żył. Tak pragnie on swego końca.

Kocham tego, który pracuje i odkrycia czyni, aby nadczłowiekowi dom wystawił, oraz mierzwę, zwierzę i roślinę jemu zgotował: gdyż tak chce on swego końca.

Kocham tego, który cnotę swą kocha: gdyż cnota jest wolą końca i strzałą tęsknoty.

Kocham tego, który ani kropli ducha sobie nie pozostawia, lecz chce być całkowicie duchem swej cnoty: tak przekracza on most jako duch.

Kocham tego, co ze swej cnoty czyni skłonność ducha i przeznaczenie własne: i tak gwoździ swej cnoty chce żyć jeszcze i przestać już żyć.

Kocham tego, co nie chce zbyt wiele cnót posiadać. Jedna cnota jest większą cnotą niżli dwie, albowiem bardziej staje się owym węzłem, na którym zawieszają się przeznaczenie.

Kocham tego, czyja dusza udziela się rozrzutnie, który podzięką nie chce i nie zwraca: gdyż on obdarza ustawicznie, a siebie zachować nie pragnie.

Kocham tego, który wstydi się, gdy gości jemu na szczęście padną, i pyta: Czyż jestem fałszywym graczem? - gdyż on zaginąć chce.

Kocham tego, który złotymi słowami swe czyny uprzedza i zawsze więcej dotrzymuje, niż obiecał: gdyż on swego końca pragnie.

Kocham tego, co przyszłych usprawiedliwia i przeszłych wyzwala: gdyż on chce od współczesnych zaginąć.

Kocham tego, co Boga swego gromi, ponieważ Boga swego kocha: gdyż on od gniewu swego Boga zaginąć musi.

Kocham tego, czyja dusza jest głęboką, nawet poranioną będąc, i którego drobne nawet przejście zgubić może: gdyż chętnie przez most on przechodzi.

Kocham tego, czyja dusza jest przepelniona, tak iż samego siebie człowiek zapomina i tylko rzeczy wszystkie życie w nim mają: gdyż rzeczy wszystkie zamkiem jego będą.

Kochani tego, co wolnego jest ducha i wolnego serca; głowa takiego jest tylko wnętrzem serca, serce wszakże pcha go ku zagładzie.

Kocham tych wszystkich, co są jako ciężkie krople, spadające pojedynczo z ciemnej chmury, zawisłej nad człowiekiem: zwiastują one błyskawicę i jako zwiastuny giną.

Patrzcie, jam jest zwiastunem błyskawicy, jam jest ciężką kroplą z chmury: ta błyskawica zwie się nadczłowiekiem. [...]

Długo spał Zaratustra; nie tylko jutrznia, lecz i przedpołudnie zajrzało w jego oblicze. Wreszcie rozchylił powieki i ze zdziwieniem spojrzął wokół siebie: zadziwił go las i cisza samotna, ze zdziwieniem spojrzął w samego siebie. Po czym zerwał się szybko, jako żeglarz, gdy nagle ład spostrzeże. Rozradowało się serce jego, gdyż nową prawdę ujrzał. I rzekł wówczas do serca swego:

- „Nowe weszło mi światło: towarzyszy potrzebuję, ludzi żywych, nie martwych towarzyszy lub trupów, których tam niosę, dokąd zechcę.

Żywych ludzi potrzebuję, którzy dlatego ze mną pójdą, iż taka jest ich wola, by pójść tam, dokąd i ja podążam.

Nowe wzeszło mi światło. Nie do ludu, lecz do towarzyszy niechaj przemawia Zaratustra! Psem trzody lub jej pasterzem niechaj być nie pragnie!

Wielu z trzody nęcić - oto do czego doszedłem. Niechaj mnie lud i trzoda nienawidzą. Niech się zwą zbójem u pasterzy.

Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się dobrymi i sprawiedliwymi. Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się wierzącymi wiary prawdziwej.

Patrzcie na tych dobrych i sprawiedliwych! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: ten jednak jest twórcą.

Patrzcie na tych wierzących wszelkich wiar! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: ten jednak jest twórcą.

Towarzyszy szuka twórca, nie trupów ani trzody, ani wierzących. Towarzyszy w dziele swym twórczym, tych, co nowe wartości na nowych wypiszą tablicach.

Towarzyszy szuka twórca, współniwiarzy, gdyż wszystko u niego już do żniwa gotowe. Brak mu jednak stu sierpów; z gniewem wrywa zatem kłosa.

Towarzyszy szuka twórca, takich towarzyszy, co sierpy swe ostrzyć potrafią. Nazwą ich niszczycielami, wgardzicielami dobra i zła, lecz ci są, którzy plony znają, ci są, którzy dożynki święcą.

Współtworzących szuka Zaratustra, współniwiarzy i współświętujących. Cóż on ma wspólnego z trzodą, z pasterzami i trupami!

O trzech przemianach (mowa 1, rozdz. 1)

Nazwę wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem, wreszcie lew dziecięciem.

Wiele jest ciężaru dla ducha, dla silnego jucznego ducha, w którym pokora zamieszka: wszystkiego, co ciężkie i najcięższe, pożąda jego siła.

Cóż jest ciężkie? — pyta juczny duch i kłeka jako wielbłąd, aby go dobrze obładowano.

Cóż jest najcięższe dla was, bohaterzy? — pyta juczny duch, abym to na siebie wziął i radował się siłą swą.

Nie jestże to: siebie poniżyć, aby swą wyniosłości ból sprawić? Pozwolić świecić swemu szaleństwu, aby móc drwić ze swą mądrości?

Nie jestże to: z własną wówczas rozstawać się sprawą, gdy ona zwycięstwo święcić zaczyna. Na wysokie wspinać się góry, aby kusiciela kusić?

Lub może to: żywić się żołądkami i trawą poznania i w imię prawdy na głód duszy cierpieć?

Lub może to: chorym być, a pocieszycieli odprawiać, z głuchymi przyjaźń zawierać, którzy nigdy nie usłyszą, czego pragniesz?

Lub może to: w brudną leżać wodę, jeśli taką jest woda prawdy, i zimnych żab oraz ropuch gorących nie odpychać od siebie?

Lub może to: kochać tych, co nami gardzą, do upiora rękę wyciągać, gdy ten straszyć nas zechce?

Wszystko to najcięższe bierze na siebie juczny duch i jako wielbłąd, co na pustynię podąża, tak śpieszy i on na swą pustynię.

Lecz na samotnej pustyni dzieje się druga przemiana: lwem staje się tu duch, wolność pragnie sobie złupić i panem być na własnej pustyni.

Ostatniego swego władcy szuka on tutaj: wrogiem chce być, jako i Bogu swemu ostatniemu; z wielkim smokiem chce się o zwycięstwo potykać.

Czymże jest ów wielki smok, któremu duch jako panu i Bogu ulegać nie chce? „Musisz” zwie się ów smok. Lecz duch lwa mówi „chcę”.

Złotołśniące „musisz” legło mu oto w poprzek drogi — łuskowiec, a na każdej łusce lśni się złote „musisz!”

Tysiącletnie wartości lśnią się na tych łuskach. I tak oto przemawia najpotężniejszy ze wszystkich smoków: — Wszelka wartość rzeczy, ta na mnie błyszczy. Wszelka wartość stworzoną już jest, a wszelką stworzoną wartością jam jest. Zaprawdę, nie powinno być więcej „ja chcę!” — Tak mówi smok.

Bracia moi, na cóż potrzeba lwa w duchu? Czemu nie podoła jeszcze zwierzę, co samo w zaparciu i pokorze żyje?

Nowe tworzyć wartości — tego i lew nie dokona; lecz stworzyć sobie wolność nowego tworzenia — temu lwa potęga podoła.

Stworzyć sobie wolność i święte „nie” nawet o obowiązku: na to, bracia moi, lwa potrzeba.

Wziąć sobie prawo do nowych wartości — to najstraszniejszy łup dla jucznego i pokornego ducha. Zaprawdę, łupieżna to sprawa i drapieżnego zwierzęcia rzecz.

Jako swą największą świętość ukochał on niegdyś swe „powinieneś”: teraz oto musi dojrzeć szaleństwo i dowolność nawet i w najświętszym, aby swą wolność miłości swej wydrzeć: lwa do tego rabunku potrzeba.

Lecz powiedzcież mi, bracia, cóż zdoła dziecię, gdzie lew nawet nie podołał? Czemu lew drapieżny dziecięciem stać się jeszcze winien?

Niewinnością jest dziecię i zapomnieniem, jest nowopoczęciem, jest grą, jest toczącym się pierścieniem, pierwszym ruchem, świętego „tak” mówieniem.

O tak, do gry tworzenia, bracia moi, należy i święte „tak” nauczyć się wymawiać: swojej woli pożąda duch, swój świat odnajduje, kto się w świecie zatracił.

Nazwałem wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem, wreszcie lew dziecięciem.

Tako rzecze Zaratustra. A bawił on wówczas w mieście zwanym „pstra krow”.

O cnotliwych (mowa 2, rozdz. 5)

Piorunami i ogniem niebieskim należy przemawiać do śpiących i do sennych zmysłów.

Lecz głos piękności cichy jest: on wkrada się tylko do najczujniejszych dusz.

Lekko zadrżała i zaśmiała się dziś tarcza ma; to piękna święty śmiech i drzenie.

Z was, cnotliwi, śmiało się dziś me piękno. I tak oto nawiedził mię głos jego: „Oni chcą jeszcze być zapłaceni!”

Wy chcecie jeszcze być zapłaceni, wy cnotliwi! Chcecie zapłaty za cnotę, nieba za ziemię i wieczności za wasze dziś?

I oto złorzeczycie mi za to, że pouczam, iż nie ma zapłaty, nie masz płatmistrza? I zaprawdę, uczyłem ja nieraz, że cnota jest własną swą zapłatą.

Och, tym jest smutek mój, iż na dno rzeczy włączano nagrodę i karę — i wreszcie na dno dusz waszych, wy cnotliwi!

Lecz jako kieł dzika niechaj słowa me będą i niech wam dusze aż do dna rozerwą; lemieszem chcę wam być.

Wszystkich skrytości waszych głębi na światło dobędę; a gdy tak lemieszem przeorani i skruszeni na słońcu legniecie, wówczas kłamstwo wasze od prawdy łatwo się oddzieli.

Gdyż tym jest prawda wasza: jesteście za schludni na brud słów takich, jak: zemsta, kara, zapłata, odwet.

Kochacie swą cnotę, jak matka dziecię kocha, i któż słyszał kiedy, żeby matka za tę miłość opłacona być chciała?

Cnota wasza to wasze najdroższe własne ja. Pragnienie pierścienia jest w was: by samego siebie dosięgnąć, toczy się i obraca każdy pierścień.

Jako gwiazda, co gaśnie, jest każdy postępek cnoty waszej: światło jej wciąż jeszcze w drodze, wędruje wciąż — i kiedyż ono drogę swą ukończy?

Tak i światło cnoty waszej wciąż jeszcze jest w drodze, choć dzieło już dokonane jest. Niechaj zapomniane będzie, niech zamrze: promień światła jego wciąż jeszcze wędruje.

Że cnota wasza jest waszą samością, nie zaś czymś obcym, ani skórą, ani płaszczem, to prawda z dna duszy wam wydarta, wy cnotliwi!

Bywają wprawdzie i tacy, których cnotą jest kurcz pod biczem; baczyliście mi zanadto na krzyk takich cnotliwców!

Bywają i tacy, którzy cnotą zwą zleniwienie swych nałogów: gdy zemsta oraz ich zawiść członki swe prężą, ożywia się wówczas ich „sprawiedliwość”, przeciera zaspane oczy.

Bywają i tacy, którzy wstecz bywają pociągani: ciągną ich własne diabły. Lecz im głębiej padają, tym płomienniejarzą się ich oczy oraz pożądanie Boga.

Och, i takie wołania dobiegły uszu waszych, wy cnotliwi: „Czym ja nie jestem, to jest mi Bogiem i cnotą!”

Bywają i tacy, co wloką się ciężko i zgrzytliwie jako wozy kamienie w dół zwożące: ci mówią wiele o cnotie i godności, hamulec swój cnotą zowiąc!

Bywają i tacy, co są jak zegary powszedniości nakręcane codziennie: cykają i chcą, by się to cykanie cnotą zwało.

Zaprawdę, uciechę mi oni gotują: gdzie ujrzę zegar taki, będę go nakręcał swym szyderstwem; i warczęc mi one przy tym jeszcze winny!

Bywają też i dumni z pełnej garści sprawiedliwości, aby w jej imię pastwić się nad każdą rzeczą — tak iż świat w ich niesprawiedliwości tonie.

Och, jakże fałszywie wypada słowo „cnota” z ich ust! A gdy mówią: „Jestem sprawiedliwy”, brzmi to jak: „Jestem pomszczony!”

Cnotą swą radzi wrogom swoim oczy wydrapać; wywyższają się na to tylko, aby innych poniżyć.

Bywają również i tacy, co w bagnie siedząc, tak z sitowia przemawiają: „Cnotą jest cicho w bagnie siedzieć.”

Nie kąsamy nikogo i schodzimy z drogi każdemu, co gryźć chce; we wszystkim jesteśmy tego przekonania, jakie nam da.

Bywają również i tacy, co umiłowawszy gesty, mniemają: cnota jest pewnego rodzaju gestykulacją.

Ich kolana zawsze nabożeństwa czynią; dłonie są sławieniem cnoty, lecz serce nic nie wie o tym.

Bywają wreszcie i tacy, co głosić zwykli o cnocie: „Cnota jest konieczna”; w głębi duszy wierzą jednak w to tylko, iż policja jest niezbędna.

A niejednen, co wyżyn człowieczych dojrzeć nie jest w stanie, zwie to cnotą, iż niskość ludzką zbyt blisko ogląda — i ten zły swój wzrok chrzci mianem cnoty.

Niektórzy chcą być zbudowani i wydzwignięci i zwą to cnotą, inni znów pragną być powaleni — i zwą to również cnotą.

Tak oto mniemają nieomal wszyscy, iż uczestniczą w cnocie; zaś co najmniej każdy chce być znawcą w rzeczach „dobra” i „zła”.

Lecz nie na to przyszedł Zaratustra, by tym łgarzom i błaznom powiadać: „I cóż wy wiecie o cnocie? I cóż wy o niej wiedzieć możecie?”

Lecz obyście się starymi słowy znużyli, przyjaciele moi, słowami nabytymi od błaznów i łgarzy. Umęczcie się słowami: „nagroda”, „odwet”, „kara”, „zemsta w sprawiedliwości”.

Umęczcie się mówieniem, „że ten postępek jest dobry, ponieważ jest nie samolubny”.

Och, przyjaciele moi! Że w a s z a samość tkwi w postępku jak matka w dziecięciu, takimi niech będą w a s z e słowa o cnocie!

Zaprawdę, zabrałem wam setkę słów miłych i lube igraszki waszej cnoty; i oto dąsacie się na mnie jak dzieci.

Igrały oto nad morzem — przyszła fala i porwała im igraszkę w głębie: płaczą wtedy.

Lecz ta sama fala przyniesie im nowe igraszki i wyrzuci przed nimi nowe barwiste muszelki!

Pocieszą się wnet dzieci; podobnież i wy, przyjaciele moi, znajdziecie niebawem swe pocieszenia i nowe barwiste muszelki!

Tako rzecze Zaratustra.

Koncepcja życia i woli mocy, tłum. K. Krzemieniowa, w: Z. Kuderowicz, Nietzsche, „Myśli i ludzie”, Warszawa 2004, s.180-186.

Strzeżmy się! - Strzeżmy się myśli, że świat jest istotą żyjącą. W jakim kierunku miałyby się rozprzestrzeniać? Czymże miałyby się żywić? W jaki sposób rosnać i rozmnażać się? Wiemy mniej więcej, na czym polega organiczność: i mieliżbyśmy to coś niezmiernie wtórnego, próżnego, rzadkiego, przypadkowego, co spostrzegamy tylko na skorupie ziemskiej, podnieść do rzędu istotności, powszechności, wieczności, jak czynią, to ci, którzy wszechświat nazywają organizmem? Wstręt mnie bierze. Strzeżmy się już wiary, że wszechświat jest maszyną; z pewnością nie jest on skonstruowany dla pewnego celu, słowem „maszyna” czynimy mu nazbyt wielki zaszczyt. Strzeżmy się zawsze i wszędzie zakładać istnienie czegoś tak foremnego, jak cykliczne ruchy gwiazd z nami sąsiadujących; już rzut oka .na Drogę Mleczną rodzi niepewność, czy nie ma tam ruchów o wiele bardziej nie uformowanych i wzajemnie przeciwnych, a także czy nie ma gwiazd o wiecznych torach padania po linii prostej i tym podobne. Porządek astralny, w którym żyjemy, jest czymś wyjątkowym; ten porządek i znaczna ciągłość przezeń warunkowana, umożliwiły z kolei wyjątek wśród wyjątków: ukształtowanie form organicznych. Ogólny charakter świata jest natomiast po wszystkie czasy chaosem, nie w znaczeniu braku konieczności, ale braku porządku, rozczłonowania, formy, piękna, mądrości i innych jeszcze naszych ludzkich estetycznych właściwości, jakby ich nie

zwać. Sądząc ze stanowiska naszego rozumu, nieudane rzuty są bezwzględną regułą, wyjątki nie są zakrytym celem, a cała pozytywka powtarza wiecznie swoją nutę, której nie sposób nazwać melodią, - a wreszcie nawet wyrażenie „nieudany rzut” jest już antropomorfizacją, która zawiera w sobie naganę. Ale jakże tu ganić albo chwalić wszechświat. Strzeżmy się przed przypisywaniem mu braku serca czy bezrozumu lub też ich przeciwieństw: on nie jest ani doskonały, ani piękny i szlachetny, ani też nie zmierza do żadnej z tych rzeczy, zupełnie nie dąży do tego, aby naśladować człowieka! Żaden z naszych sądów estetycznych i moralnych go nie dotyczy! Nie zna on też instynktu samozachowawczego ani w ogóle żadnego instynktu, nie zna też żadnych prawidłowości. Strzeżmy się mówienia, że istnieją prawa przyrodnicze. Istnieją tylko konieczności: nie ma Nikogo, kto rozkazuje, Nikogo, kto słucha, Nikogo, kto wykracza. Jeśli wiecie, że nie ma celów, to wiecie również, że nie ma przypadku: bowiem słowo „przypadek” ma sens tylko w skojarzeniu ze światem celów. Strzeżmy się twierdzeń, że śmierć jest przeciwieństwem życia. To, co żyje, jest tylko odmianą martwego i to bardzo rzadką odmianą. - Strzeżmy się myśli, że świat wiecznie stwarza coś nowego. Nie ma substancji wiecznie trwających; materia jest dokładnie takim samym błędem, jak bóg eleatów.¹ Ale kiedyż wreszcie poprzestaniemy na naszej własnej przezorności i pieczy! Kiedyż wszystkie te cienie boga przestaną rzucać na nas mrok? Kiedyż oczyścimy całkowicie naturę z boga! Kiedyż będziemy mogli rozpocząć u n a t u r a l n i a n i e nas, ludzi, czystą, na nowo odnalezioną, na nowo uwolnioną naturą!

Wierzący i ich potrzeba wiary. - Ile człowiek potrzebuje wiary, aby się pomyślnie rozwijać, ile czegoś „stałego”, co chce widzieć niezachwianym, bo on się tego trzyma - oto miernik jego siły (albo, mówiąc dokładniej, jego słabości). Jak mi się zdaje, większość ludzi w starej Europie także dziś jeszcze potrzebuje chrześcijaństwa i dlatego wciąż jeszcze znajduje ono wiarę. Taki bowiem jest człowiek i można by mu po tysiącokroć udowodnić błędność zasady wiary - gdyby jej wszakże potrzebował, uważałby ją także wciąż od nowa za „prawdziwą” - zgodnie z owym sławnym „dowodem siły”, o którym mówi Biblia. Niektórzy potrzebują, jeszcze metafizyki; ale również owo gwałtowne p r a g n i e n i e p e w n o ś c i, które rozładowuje się dziś w szerokich masach na sposób naukowo-pozytywistyczny, pragnienie, aby c h c i e ć posiadać coś całkowicie pewnie (przy czym z powodu żaru owego pragnienia podchodzi się mniej pieczołowicie i lekkomyślniej do uzasadnienia tej pewności): również to jest jeszcze pragnieniem posiadania punktu oparcia i podpory, jednym słowem, i n s t y n k t e m s ł a b o ś c i, który wprawdzie nie stwarza religii, metafizyki i wszelkiego rodzaju przekonań - ale je konserwuje. W istocie wokół wszystkich tych pozytywistycznych systemów snuje się dym jakiejś pozytywistycznej melancholii, jakiegoś znużenia, fatalizmu, rozczarowania, obawy przed nowym rozczarowaniem - ale także wystawiana na pokaz zajadłość, zgryźliwość, anarchiczne oburzenie i wszelkie inne symptomy czy maskaradowe przebrania uczucia słabości. Nawet popędliwość z jaką nasi najrozsądniejsi współcześni gubią się w żalonych ślepych uliczkach, na przykład w ojczyźnianości (tak nazywam to, co we Francji określa się jako chauvinisme, a w Niemczech słowem „niemieckość”) lub w estetycznych ulicznych wyznaniach w duchu paryskiego naturalizmu (który z natury wydobywa i obnaża tę część, która wywołuje zarazem obrzydzenie i zdumienie - tę część zwykło się dziś nazywać la verité vraie²) lub wzorem Petersburga w nihilizmie (to znaczy w w i e r z e w n i e w i a r ę, aż do męczeństwa za nią), wskazuje ciągle przede wszystkim na p o t r z e b ę wiary, punktu oparcia, kośćca, podpory... Wiara jest najbardziej pożądana, najpilniej potrzebna tam, gdzie brakuje woli: wola bowiem, jako afekt nakazu, jest decydującą cechą samowładności i siły. To znaczy, im ktoś mniej potrafi rozkazywać, tym usilniej poszukuje kogoś, kto sprawuje władzę, kto ją surowo sprawuje, a więc Boga, księcia, pozycji, lekarza, spowiednika, dogmatu, sumienia partyjnego. Z czego można by wnioskować, że obydwie religie światowe, buddyzm i chrześcijaństwo, mogły mieć źródła swego powstania, swego nagłego rozprzestrzenienia się w ogromnej c h o r o b i e w o l i. I tak też było naprawdę: obydwie te religie napotkały graniczące z rozpaczą, z przyczyny choroby woli absurdalnie spiętrzone pragnienie nakazu „powinieneś”, obydwie religie były nauczycielkami fanatyzmu w czasach zgnęśnienia woli i tym samym ofiarowały niezliczonym osobom oparcie dla nowej możliwości chcenia, rozkoszowanie się wolą. Fanatyzm jest bowiem jedyną „siłą woli”, do której można doprowadzić również słabych i niepewnych, jako rodzaj zahipnotyzowania całego

¹ Eleaci - szkoła filozoficzna w starożytnej Grecji przecząca zachodzeniu zmienności i głosząca koncepcję świata jako wypełnionego, niezmiennego, nieuchronnego bytu.

² Prawda autentyczna.

zmysłowo-intelektualnego systemu na korzyść poszczególnego punktu widzenia lub odczuwania, który odtąd dominuje - chrześcijanin nazywa go swoją w i a r ą. Tam, gdzie człowiek dochodzi do przekonania, że t r z e b a mu rozkazywać, staje się „wierzący”. Odwrotnie też, można by wyobrazić sobie rodzaj radości i siły samostanowienia, pewną wolność woli, w której duch rozstaje się z wszelką wiarą, wszelkim życzeniem posiadania pewności, nawykły, taki przecież jest, utrzymywać się w zarysach możliwości i tańczyć nawet ponad przepaściami. Taki duch byłby duchem w o l n y m par excellence.

Założmy, że oprócz świata naszych żądz i namiętności nic innego nie jest realnie „dane”, że nie możemy schodzić lub wznosić się do żadnej innej „realności” poza właśnie realnością naszych popędów bowiem myślenie jest tylko wyrazem wzajemnych relacji tych popędów: czyżby zatem nie było wolno podjąć próby i postawić pytania, czy ten dany świat n i e w y s t a r c z y, aby z jemu podobnego czerpać również rozumienie tzw. mechanistycznego (czy „materialnego”) świata? Nie mam na myśli iluzji, „pozoru”, „wyobrażenia” (w sensie Berkeleyowskim lub Schopenhauerowskim), lecz realność tej samej rangi, która cechuje sam nasz afekt - bardziej prymitywną formę świata afektów, w którym wszystko jeszcze spoczywa ustanowione w potężnej jedności, co później w toku organicznego procesu rozgałęzi się i rozbuduje (a również, rzecz zrozumiała, zdelikatnieje i osłabnie) jako rodzaj życia płciowego, w którym jeszcze wszystkie funkcje organiczne, samoregulacja, asymilacja, odżywianie, wydalanie, przemiana materii syntetycznie przenikają się wzajemnie - jako p r a f o r m ę życia. Wreszcie, tego rodzaju próbę nie tylko wolno podejmować, ale i należy - ze względu na sumienność metody. Nie zakładać wielu rodzajów przyczynowości, póki próba obycia się za pomocą jednej nie zostanie doprowadzona do ostatecznych granic (aż do absurdu, jeśli tak rzecz można) i taka oto jest moralność metody, której dziś nie podobna pominąć; - jakby powiedział matematyk, wynika to „z jej definicji.” Kwestią jest w końcu to, czy istotnie uznajemy wolę za czynnik s p r a w c z y, czy wierzymy w przyczynowość z woli: - jeśli tak - a w gruncie rzeczy wiara w to jest właśnie naszą wiarą w samą przyczynowość - to m u s i m y podjąć próbę ustanowienia przyczynowości z woli jako hipotetycznie jedynej przyczynowości. „Wola” może oczywiście oddziaływać tylko na „wolę” a nie na „materię” (na przykład nie na „nerwy”): trzeba zatem ważyć się na hipotezę, czy wszędzie, gdzie uznajemy „oddziaływania”, nie wpływa wola na wolę - oraz czy wszelkie dzianie się mechaniczne, o ile przejawia się w nim energia, nie jest właśnie energią woli, nie jest rezultatem woli. - Założmy wreszcie, że udałoby się wyjaśnić całość naszego życia popędowego jako rozwidlenie i rozbudowanie jednej podstawowej formy woli - mianowicie woli mocy, jak głosi moje twierdzenie-; założmy, że wszystkie funkcje organiczne można by sprowadzić do tej jednej woli mocy, a w niej znaleźć również rozwiązanie problemu płodzenia i żywienia - jest to jeden problem - to można by tym samym zyskać sobie prawo jednoznacznego określenia wszelkiej energii sprawczej, jako w o l i m o c y. Świat widziany od wewnątrz, świat określany i opisywany ze względu na jego „intelligibilny charakter” - byłby właśnie „wolą mocy” i niczym więcej.

Przede mną bolesne, budzące grozę widowisko: ściągnąłem oto kurtynę zasłaniającą d e p r a w a c j ę człowieka. Słowo to, w moich ustach, nie może jednego przynajmniej budzić podejrzania: że zawiera moralne oskarżenie ludzkości. Ma ono sens - to chciałbym raz jeszcze podkreślić - w o l n y o d m o r a l i z a t o r s t w a: i to do tego stopnia, że ową deprawację najsilniej odczuwam właśnie tam, gdzie dotychczas najbardziej świadomie aspirowano do „cnoty” i „boskości”. Rozumiem deprawację, jak można się już domyślić, jako *décadence*: twierzę oto, że wszystkie wartości, w których ludzkość sumuje obecnie swoje najwyższe pragnienia, są w a r t o ś c i a m i d e k a d e n c j i.

Zdeprawowanym nazywam zwierzę, gatunek, indywiduum, jeśli ztraca swe instynkty, jeśli wybiera, jeśli d a j e p i e r w s z e ń s t w o temu, co jest dlań niekorzystne. Historia „wyższych uczuć”, „ideałów ludzkości” - a nie wykluczone, że będę musiał ją opowiedzieć - mogłaby niemal stanowić zarazem wyjaśnienie tego, d l a c z e g o człowiek jest tak zdeprawowany.

Samo życie uważam za instynkt wzrostu, trwania, gromadzenia energii, m o c y: gdzie nie ma woli mocy jest upadek. Twierdzą, że wszystkim najwyższym wartościami ludzkości b r a k u j e tej woli - że pod najświętszymi imionami obejmują panowanie wartości schyłkowe, wartości nihilistyczne.

Krytyka moralności, tłum. K. Krzemieniowam w: Z. Kuderowicz, Nietzsche, „Myśli i ludzie”, Warszawa 2004, s. 202-212.

Krytyka moralności

Pojęcie moralności obyczajów. W zestawieniu ze sposobem życia ludzkości w ciągu całych tysiącleci my, ludzie współcześni, żyjemy w bardzo niemoralnym czasie: władza obyczajów zdumiewająco osłabła, a poczucie moralności stało się tak subtelne i osiągnęło takie wyżyny, że można równie dobrze uznać, iż się ulotniło. Dlatego nam, późno urodzonym, trudno będzie zyskać podstawowe rozeznanie w kwestii powstawania moralności; sądy w tej sprawie, gdybyśmy do nich mimo wszystko doszli, zamaryłyby nam na ustach: bowiem zabrzmiały nazbyt prostacko! Lub też zdawałyby się spotwarzać moralność! Weźmy na przykład choćby p o d s t a w o w ą t e z ę: moralność nie jest niczym innym (a zatem niczym więcej!) jak tylko posłuszeństwem obyczajom, jakiego by nie były rodzaju; obyczaje są, mianowicie przekazane przez tradycję sposobami postępowania i wartościowania. W sprawach, które nie rządzą się tradycją, nie ma moralności. Im mniejszy jest wpływ przeszłości na życie, tym węższy staje się krąg moralności. Wolny człowiek jest niemoralny, ponieważ chce być we wszystkim zależny od siebie, a nie od przekazu i we wszystkich pierwotnych sytuacjach ludzkości „zły” znaczy tyle, co „indywidualny”, „wolny”, „arbitralny”, „nienawykowy”, „nieprzewidziany”, „nieobliczalny”. Kierując się stale skalą takich sytuacji, formułujemy wniosek: jeśli czynność podejmowana jest nie dlatego, że wymaga tego tradycja, ale z innych motywów (na przykład dla indywidualnej korzyści), być może zresztą nawet tych samych, które niegdyś tę tradycję stworzyły, to jest ona niemoralna i tak też odczuwa ją wykonawca: jej źródłem bowiem nie jest posłuszeństwo tradycji. Cóż to jest tradycja? Wyższy autorytet, któremu winno się posłuszeństwo nie dlatego, że nakazuje on coś dla nas pożytecznego, ale dlatego, że to on nakazuje. - Czym różni się to poczucie tradycji od uczucia strachu w ogóle? Jest to strach przed wyższym intelektem, który tu włada, strach przed niepojętą, nieokreśloną mocą, przed czymś ponadosobowym, w strachu kryje się p r z e s ą d. Pierwotnie do sfery moralności wchodziło całe wychowanie i opieka zdrowotna, małżeństwo i sztuka lekarska, uprawa roli, wojna, mówienie i milczenie, obcowanie z ludźmi i bogami. Moralność wymagała, aby przestrzegano przepisów, b e z u w z g l ę d n i a n i a przy tym indywidualności. Pierwotnie zatem wszystko było obyczajem. Jeśli więc ktoś chciałby stanąć ponad nim, musiałby zostać prawodawcą i wielkim lekarzem i rodzajem półboga: to znaczy, musiałby tworzyć obyczaje, a to rzecz straszna, niebezpieczna dla życia! - Kto jest najbardziej moralny? P o p i e r w s z e t e n, kto najczęściej spełnia swą powinność, a więc kto, jak bramin, świadomość jej zachowuje zawsze i wszędzie i ciągle szuka sposobności, by ją spełnić. N a s t ę p n i e t e n, kto spełnia ją również w najtrudniejszych sytuacjach. Najbardziej moralny jest ten, kto obyczajowi najwięcej składa w ofierze: co jest wszakże największą ofiarą? Ze sposobu odpowiedzi na to pytanie wynika wiele różniących się między sobą etyk. Najważniejszą zaś różnicą między nimi jest ta, która dzieli moralność n a j c z ę s t s z e g o j e j s p e ł n i a n i a od moralności n a j t r u d n i e j s z e g o j e j r e s p e k t o w a n i a. Nie należy żywić złudzeń co do motywów tej moralności, która żąda najtrudniejszego dopełnienia obyczajów jako oznaki postawy moralnej! Żąda się samoprzezwyciężenia n i e z e względu na jego pożyteczne rezultaty dla jednostki, ale aby dzięki temu obyczaj, aby tradycja mogła ukazać swą władzę, wbrew indywidualnej niechęci i uprzedzeniom: jednostka powinna siebie złożyć w ofierze - oto jest sens moralności obyczajów. - W y j ą t e k tworzą natomiast ci moralisci, którzy wstępując w ślady S o k r a t e s a jako jego następcy gorąco zalecali j e d n o s t c e moralność panowania nad sobą i wstrzeźliwość jako dla niej samej najbardziej k o r z y s t n e, jako klucz do osobistego szczęścia; jeśli zaś mamy odmienne wrażenie, to tylko dlatego, że wychowaliśmy się pod ich wpływem: wszyscy oni idą nowymi szlakami, przy najwyższej dezaprobacie ze strony wszystkich przedstawicieli moralności obyczajów - wyłączają się ze wspólnoty, jako niemoralni i są w najgłębszym rozumieniu tego słowa, ludźmi złymi. Podobnie też cnotliwy Rzymianin dawnego pokroju w każdym chrześcijaństwie, który „przede wszystkim miał na względzie swe własne zbawienie” - widział człowieka złego. Ponadto wszędzie, gdzie istnieje wspólnota i w związku z tym moralność obyczajów, pogląd, że kara za uchybienie obyczajowi spada przede wszystkim na wspólnotę: owa nadnaturalna kara, której przejawy i granice tak trudno jest

pojąć i która, zgłębia się z tak zabobonną trwogą. Wspólnota może nakłaniać jednostkę, aby zrekompensowała wyrządzone wspólnocie lub jednostce bezpośrednio szkody, które spowodowało jej postępowanie. Może też wyrzucić na jednostce coś w rodzaju zemsty za to, że przez nią, jako rzekome następstwo jej postępowania, nad wspólnotą zawisły boskie chmury i gromy gniewu - ale przede wszystkim odczuwa winę jednostki jako s w o j ą w ł a s n ą i ponosi jej karę jako s w o j ą k a r ę - „obyczaje uległy rozluźnieniu, utyskuje każdy w duszy, skoro możliwe są takie czyny”. Wszelkie indywidualne działanie, wszelkie indywidualne myślenie budzi grozę; nie sposób wprost określić, ile musiały wycierpieć w toku historii właśnie umysły bardziej oryginalne, nieprzeciętne, wyjątkowe z tego powodu, że zawsze budziły odczucie, iż są złe i niebezpieczne, ba, same p o d z i e l a ł y t o o d c z u c i e. Pod panowaniem moralności obyczaju wszelkiego rodzaju oryginalności towarzyszą wyrzuty sumienia; i dlatego niebo najlepszych jest po dziś dzień bardziej mroczne, niżby było to konieczne.

Zanikający chrystianizm w moralności. „On n'est bon que par la pitié; il faut donc qu'il y ait quelque pitié dans tous nos sentiments”³ - takim głosem przemawia teraz moralność! A skąd się to bierze? Kto wie, czy nie najbardziej powszechnym rezultatem oddziaływania i przemiany postaw w Europie pod wpływem chrześcijaństwa nie jest to, że w obecnym odczuciu ten człowiek jest moralny, którego działalność jest sympatyczna, bezinteresowna, ogólnie użyteczna i społeczna: choć nie było to ani zamiarem, ani doktryną chrześcijaństwa. Było to wszakże residuum nastrojów chrześcijańskich, kiedy stopniowo ustąpiła całkowicie przeciwstawna, skrajnie egoistyczna zasadnicza wiara w „jedno jest koniecznością”, w absolutną doniosłość wiecznego o s o b i s t e g o zbawienia i w dogmaty, na których ona spoczywała, i na plan pierwszy wysunęła się uboczna wiara w „miłość”, w „miłość bliźniego”, pozostająca w zgodzie z ogromną praktyką kościelnego miłosierdzia. Im bardziej uwalniano się od dogmatów, tym silniej poszukiwano jak gdyby u s p r a w i e d l i w i e n i a tego uwolnienia w kulcie miłości człowieka: nie pozostać w tym względzie w tyle za ideałem chrześcijańskim, ale możliwie go p r z e w y ż s z y ć, oto ukryta ostroga wszystkich francuskich wolnomyślicieli od Woltera aż po Comte'a: ten ostatni zaś w swej słynnej formule etycznej vivre pour autrui⁴ był w istocie bardziej chrześcijański niż chrześcijaństwo. Na gruncie niemieckim Schopenhauer, na angielskim John Stuart Mill nadali rozgłos doktrynie o uczuciach sympatii, litości oraz pożytku dla innych jako zasadzie działania: sami oni wszakże byli tylko echem - owe teorie, w najbardziej subtelnych i najbardziej prostackich formach, zaczęły wyrastać jednocześnie wszędzie i z ogromną dynamiką, mniej więcej od czasu rewolucji francuskiej, na wspólnym zaś gruncie tych nauk jak gdyby spontanicznie osadziły się wszystkie systemy socjalistyczne. Nie ma teraz chyba przesądu, który by znajdował więcej wiary niż ten, że wiadomo, co właściwie stanowi o istocie moralności. Każdy teraz wydaje się znajdować satysfakcję, kiedy słyszy, że społeczeństwo zmierza do tego, aby jednostkę dopasować do ogólnych potrzeb i że s z c z ę ś c i e, a z a r a z e m o f i a r ą, j a k ą p o n o s i j e d n o s t k a, polega na tym, aby czuć się użytecznym ogniwem oraz instrumentem całości: tylko że obecnie brak jeszcze zdecydowania, gdzie należy szukać tej całości, czy w jakimś już istniejącym państwie, czy w takim, które należy utworzyć, w narodzie czy w bratnim sojuszu ludów lub też w małych nowych wspólnotach gospodarczych. Problem ten wywołuje teraz wiele sporów, wątpliwości, refleksji, wiele podniecenia i namiętności: cudowna wszakże i mile brzmiąca jest zgodność w postulowaniu, aby ego zaparło się siebie, póki, w formie przystosowania do całości, nie uzyska ponownie ustalonego zakresu praw i obowiązków - póki nie stanie się więc czymś całkowicie nowym i odmiennym. Żąda się rzeczy nie mniejszej - przyznaje się do tego lub nie - jak zasadnicze przekształcenia, a nawet osłabienie czy przewyciężenie indywiduum: niestrudzenie wylicza się i piętnuje wszystko to, co w dotychczasowej formie indywidualnego istnienia jest złe, nieprzyjemne, marnotrawne, rozrzutne, zbyt wiele; żywi się nadzieję na tańsze bezpieczniejsze, bardziej równomierne i jednolite prowadzenie gospodarki w warunkach, gdy istnieć będą jeszcze tylko w i e l k i e c i a ł a i ich członki. Wszystko, co odpowiada temu instynktowi tworzenia ciała i ich członków oraz jego pomocniczym popędem, jest odczuwane jako dobro; jest to podstawowy prąd moralny naszej epoki. Współodczuwanie i odczuwanie socjalne przenikają przy tym wzajemnie. (Kant znajduje się poza tym ruchem i naucza dobitnie, że musimy być niewrażliwi na cudze cierpienie, jeżeli nasza dobroczynna działalność ma mieć wartość

³ Jest się dobrym tylko dzięki litości; trzeba więc przyjąć, że we wszystkich uczuciach jest trochę litości.

⁴ Żyć dla drugiego.

moralną - co Schopenhauer, rozłościwszy się wielce, rzecz zrozumiała, nazywa k a n t o w s k i m brakiem smaku).

O ile należy wystrzegać się litości. – Litość, o ile sprawia ją rzeczywiste cierpienie - a to stanowi wyłączny rozpatrywany tutaj punkt widzenia - jest słabością, jak każde zagubienie się w s z k o d l i w y m afekcie. Pomnaża ona cierpienie w świecie i jeśli nawet pośrednio litość tu i ówdzie zmniejsza lub nawet usuwa cierpienie, to nie można tych przypadkowych i w sumie nieznacznych efektów wykorzystywać dla usprawiedliwienia jej istoty, która, jako się rzekło, jest szkodliwa. Załóżmy, że przez jeden tylko dzień panowałaby ona nad światem: tego dnia nastąpiłaby zguba ludzkości. Sama w sobie ma ona równie niewiele dobrego charakteru, jak każdy inny popęd i dopiero tam, gdzie się ją pielęgnuje i chwali - a tak dzieje się wszędzie tam, gdzie nie pojmuje się jej szkodliwości, ale odkrywa w niej ź r ó d ł o r a d o ś c i - wiąże się z nią czyste sumienie i dopiero wtedy znajduje ona takich, którzy się chętnie jej oddają i nie stronią od manifestowania tych uczuć. W innych sytuacjach, tam, gdzie rozumie się, że wyrządza ona szkodę, uznaje się ją za przejaw słabości: lub, jak u Greków, za chorobliwy okresowo pojawiający się afekt, któremu można odjąć jego niebezpieczny charakter od czasu do czasu sobiepańsko go zaspokajając. – Kto, tytułem próby, przez czas jakiś w życiu praktycznym szuka sposobności do litości i stale uprzytamnia sobie wszelką niedolę, z którą styka się we własnym otoczeniu, ten nieuchronnie popadnie w chorobę i melancholię. Kto wszakże zechce w jakiegokolwiek intencji służyć ludzkości jako lekarz, będzie musiał mieć się bardzo na baczności wobec tego uczucia - we wszystkich decydujących momentach paraliżuje go ono i obezwładnia jego wiedzę i pomocną sprawną dłoń.

W ciągu najdłuższego okresu w historii ludzkości - a zwykło nazywać się go okresem prehistorycznym - wartość lub bezwartość działania wyprowadzono z jego następstw: niewiele uwagi poświęcano samemu działaniu i jego źródłom, lecz mniej więcej tak, jak to i dziś jeszcze dzieje się w Chinach, gdzie wyróżnienie lub hańba dziecka obejmuje rodziców; rzutująca wstecz siła sukcesu lub niepowodzenia sprawiała, że człowiek orzekał, iż jakieś działanie jest dobre lub złe. Nazwijmy ten okres przedmoralną epoką ludzkości: nie znano jeszcze wtedy imperatywu: „poznaj samego siebie”. W ciągu ostatnich dziesięciu tysiącleci natomiast na kilku wielkich połaciach ziemi stopniowo ustaliła się zasada, że o wartości działania decydują nie jego następstwa ale źródła: wielkie to wydarzenie jako całość, znaczne udoskonalenie skali widzenia i mierzenia, nie uświadamiany rezultat panowania arystokratycznych wartości i wiary w „pochodzenie”, znamionuje okres, który można określić jako moralny w ścisłym sensie, gdyż dokonano tu pierwszej próby samopoznania. Źródła w miejsce następstw: jakież odwrócenie perspektyw! I niewątpliwie odwrócenie uzyskane dopiero po długich walkach i wahaniach! Ma się rozumieć: zapanowało tym samym nowe, brzemienne w następstwa uprzedzenie, swoiste zawężenie interpretacji: w najlepszej intencji wskazywano na źródła działania jako na źródła wyniku z zamierzenia; zjednoczono się w wierze, iż wartość działania pokrywa się z wartością zamierzenia. Zamiar jako całkowite źródło i prehistoria działania: pod znakiem tego to przesądu niemal po ostatnie czasy wyrażano na ziemi pochwały i nagany moralne, sprawowano sądy, a także filozofowano. - Ale czyż nie stanęliśmy dzisiaj wobec konieczności zastanowienia się raz jeszcze nad decyzją odwrócenia i zasadniczego przemieszczenia wartości dzięki ponownej samorefleksji i zgłębieniu człowieka - czyżbyśmy nie znaleźli się u progu okresu, który, negatywnie należałoby zrazu określić jako okres pozamoralny: dziś, kiedy przynajmniej wśród nas, immoralistów, budzi się podejrzenie, że właśnie w tym, co w działaniu nie łączy się z zamiarem, leży jego decydująca wartość i że wszystko, co jest w nim zamierzone, co w nim może być dostrzegane, znane „świadomie”, należy do jego powierzchniowej, naskórkowej sfery - która, jak każdy naskórek, coś ujawnia, ale więcej jeszcze ukrywa? Krótko mówiąc, jesteśmy przekonani, że zamierzenie jest tylko znakiem i symptomem, który dopiero trzeba zinterpretować, nadto znakiem wskazującym nazbyt różnorodne rzeczy i w rezultacie niewiele znaczącym sam przez się - że moralność, w dotychczasowym sensie, a więc moralność nastawiona na zamierzenie, jest przesądem, mniemaniem nazbyt pospiesznym, raczej prowizorycznym, rzeczą na miarę astrologii i alchemii, tak czy inaczej czymś, co powinno być przewyciężone. Przewyciężenie moralności, w pewnym zaś rozumieniu nawet samoprzewyciężenie moralności: oto nazwa dla owej długiej tajemnej pracy, która została zastrzeżona dla najbardziej wyrafinowanych i uczciwych, ale również dla najbardziej złośliwych umysłów dnia dzisiejszego, jako dla żywych kamieni probierczych duszy.